

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 11 SIERPNI 1928 ROKU

NR 33

TREŚĆ NUMERU: Jak bronić swego honoru — *Natalja Jastrzębska*. Kluby dziewczęce — *Żofja Miszewska*. Trzy kobiety — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Wakacje” — *Janusz Stępowski*. Zwyczajne dzieje (c. d.) — *Karol Poraj-Koźmiński*. Willa pod miastem (dok.) — *M. Morozowicz-Szczepkowska*. Z teatrów—*S. P. O. Nasi olimpijczycy*. Obrazy z historii mody — *Stefanja Zahorska*. Uprzemysławiajmy nasze sady — *mar.-mor. Gołębie* — *W. D.* Dodatek „Mody i roboty”: *Crêpe satin—Well*. Dodatek „Kultura ciała”: Jak korzystać z powietrza i słońca — *Dr. med. J. Świtalska*. Higiena osobista kobiety — *Dr. Marja Wojtulewicz*. Moda w oświetleniu higieny — *Dr. A. Fruchtmann*. To i owo — „*Luc*”. Odpowiedzi Redakcji. Dodatek powieściowy: „*Oblubieńcy*” — *M. Benisławska*.
Arkusz wzorów,

JAK BRONIĆ SWEGO HONORU

(Odpowiedź na artykuły pp. Dr. J. Świtalskiej-Fularskiej i Dr. H. Naglerowej.)

„Kobieta musi domagać się dla siebie odpowiedzialności i samodzielności w kwestjach, dotyczących jej honoru”.

Domagać się, tylko — jak?

A głównie, jak — o t r z y m a ć?

To palące zapytanie wydało mi się najważniejszą zagadką po przeczytaniu, świetnie zresztą napisanego artykułu, koleżanki Naglerowej, p. t. „Psychika niewolnika, a kodeks honorowy”, zamieszczonego w Nr. 28 „Bluszczu”.

Sprawa odpowiedzialności honorowej kobiet, zainicjowana na łamach naszego pisma przez p. dr. J. Świtalską-Fularską, omawiana niezwykle trafnie i życiowo przez p. H. Naglerową, jest dla kobiet, zwłaszcza z inteligencji, pracujących zawodowo, społecznie i politycznie — kwestją najpierwszej wagi.

Więcej—sprawa ta wchodzić już zaczyna, jak widzimy, w fazę realizacji: obok Warszawy, krakowski zjazd federacji polskich akademickich kół przyjaciół Ligi Narodów—uchwalił reformę kodeksu honorowego, na zasadzie równouprawnienia kobiet, w sprawach honorowych.

Pomimo tego wszystkiego, zagadnienie pozostaje w zasadzie bardzo trudne.

Nie mówię już o tem, że (nie ludźmy się) większość kobiet jest do niego nieprzygotowana i wcale go nie rozumie. Wiemy już dobrze, iż ludzie do praw nie dorastają, lecz w prawach rosną i rozwijają się. W chwili wprowadzenia w Europie parlamentaryzmu,

warstwy ludowe nie więcej były doń przygotowane, a jednak jakoś wszędzie do niego dorosły.

Nie, trudność leży w czym innym.

Przyznając kobiecie prawo domagania się satysfakcji honorowej i, naturalnie, co jedno z drugiego wypływa, prawo dawania jej—(prawo odpowiedzialności honorowej, to, co niemcy nazywają „satisfactionsfähigkeit”), musimy konsekwentnie określić, j a k p r a w o to ma być wykonywane.

Albo dać kobiecie prawo pojedynku, albo stworzyć dla obu płci inny kodeks honorowy.

Czyli—rozwiązać kwadraturę koła!

Nie było, bowiem, przykładu, aby prawa tej kategorii tworzone specjalnie dla kobiet; dotychczasowe równouprawnienie szło po linii... równouprawnienia, to jest jednakowych obowiązków i praw dla jednej i drugiej strony.

Prawa pojedynku, wątpię, aby kobiety chciały się domagać, a tymczasem, powiedzmy to szczerze, niczego innego właściwie w kodeksie honorowym niema.

Ostatecznym słowem, ostatecznym rozstrzygnięciem jest zawsze rozprawa z bronią w rękę; wszystko inne—to tylko akcesoria.

Sądy honorowe? Przecież każdy, kto zna te sprawy, wie doskonale, że dziewięć dziesiątych tych sądów—to długi, i ciemny, i nudny wstęp do pojedynku. Robi się taki sąd, gdy jedna ze stron kwestionuje właśnie ową „satisfactionsfähigkeit” drugiej, aby po czterdziestu posiedzeniach, zmianie ze czterech

kompletów sędziów i z pięciu superarbitrów, po wyniknięciu na tem tle już conajmniej trzech nowych spraw honorowych i zapisaniu stu arkuszy papieru—zawyrokować wreszcie, że dany osobnik może dać, lub żądać satysfakcji z bronią w ręku! Co wynika zawsze, o ile dany osobnik nie kradnie i nie fałszuje weksli.

A więc — reforma kodeksu honorowego? Ależ ta reforma, usuwając z zasady pojedynki, prowadzi właśnie prosto do... wyżej wspomnianych sądów honorowych z ich wszystkimi przyjemnościami, a z rezultatem więcej niż wątpliwym. Bo ośmiowiekowy — dobrze, nazwijmy go przesąd, ale i ośmiowiekowa w tym kierunku kultura stworzyła „prawo”, któremu każdy się poddaje. Liga praw honorowych kobiety prawi takiego nie stworzy.

Niewielu ludzi zdecyduje się odrzucić pojedynki, ilu zastosuje się do wyroku nowo-kreowanego sądu honorowego? I c z e m będzie taki wyrok? I j a k a da satysfakcję?

Tu leży trudność całej kwestji, która stanowi temat sporu od szeregu lat i która pozostaje nierozstrzygnięta wcale nie dla kobiet specjalnie, lecz właśnie dla mężczyzn!

Kultura nowoczesna uznała pojedynki za barbarzyństwo, lecz nie umiała dotychczas wymyślić niczego na jego miejsce.

Wszelkie instytucje moralne i prawne pojedynki potępiają w zasadzie, i jednocześnie jest on wszędzie milcząco tolerowany. Najklasyczniejszy tego przykład mamy przecież w armji, gdzie rozprawa z bronią w ręku jest zarazem zabroniona i nakazana!

Bo pojedynki, pomimo swego barbarzyństwa, ma w swej istocie pewne walory, równe egzekutywie prawnej, i dlatego jest tak silny. Ludzie obawiają się go. Obawiają się zniesławienia, wrażliwości, i — skutków, wrażliwości przyjęcia pojedynku. W tem tkwi jego siła.

Pozwolę sobie przytoczyć klasyczne dwa przykłady, w których w grę wchodziła sprawa kobiety; oba autentyczne i z dnia prawie dzisiejszego.

W pierwszym wypadku rozstrzygnięto sprawę „po staremu”, w drugim — przeciwnie.

W jednej z instytucji wojskowych oficer zaczął narzucać swe względy koleżance w sposób tak natarczywy, że aż obrażający. Wtedy brat tej panienci posłał swych dwóch przyjaciół z wyzwaniem, — sprawa zakończyła się momentalnym przeproszeniem obrażonej.

Coby sobie robił taki osobnik z wezwania jakiejś Ligi Praw Honorowych Kobiet? I jakie prawo miałyby do niego ta instytucja? Bo przecież trudno wyobrazić sobie, aby istniała w... pułku!

W drugim wypadku również oficerowi wytoczyła kobieta bardzo ciężkie zarzuty: obrazy czci i skrzywdzenia; oskarżenie skierowano do sądu honorowego

oficerskiego. Sprawa ciągnęła się bardzo długo. Rezultat, zdaje się, dotychczas nierozstrzygnięty.

A w obu tych wypadkach rzecz dotyczyła wojskowych, obowiązanych do wielkiej karności honorowej, a istota obrazy była bardzo poważna! O ileż bezceremonialniej traktowałiby te kwestje cywilni, gdyby chodziło o obrazę na tle sporu w pracy zawodowej, społecznej, czy w życiu towarzyskim!

Dlatego ta „reforma kodeksu honorowego”, jak to już zaznaczyłam, dla mężczyzn nawet jest trudna. Co pewien czas powstają nowe jej projekty, krzątają się koło niej różne ligi i stowarzyszenia, i w rezultacie... niema rezultatu.

Nie chcę być źle zrozumiana; pragnę zastrzec się jaknajusilniej, że nie występuję wcale przeciwko istocie sprawy: — honorowej odpowiedzialności i samodzielności kobiety. Przeciwnie, uważam, że sprawa ta nie podlega żadnej dyskusji, że rozumie się sama przez się. Kobieta, pracująca samodzielnie, stojąca na stanowisku społecznym, politycznym, towarzyskim nawet, jest samodzielnie odpowiedzialna honorowo — tu nie może być dwóch zdań. Życiowo i uczuciowo świetnie ujęty jest argument, wysuwany i przez p. dr. Świtalską-Fularską, i przez p. Naglerową, że kobieta lęka się nieraz wystąpić śmieiej, aby nie narazić kogoś z członków swej rodziny (mężczyzny) na pojedynki, ale zasadniczo nawet to nie powinno decydować!

Nawet, gdyby kobiecie nie chodziło o to, nawet, gdyby się tego nie lękała — uczucie, że ktoś występuje za nią i załatwia jej spór, czy obrazę, będzie ubliżające i nieznośne, a sama zasada takiego wystąpienia zaprzecza prawom kobiety - człowieka.

Ale to wszystko nie stanowi wcale, aby sprawę tę rozstrzygnąć mogła prywatna reforma kodeksu honorowego.

Opieranie honorowej odpowiedzialności kobiety na nowym jakimś kodeksie honorowym towarzyskim jest nieracjonalne.

Byłoby wskazane tylko w tym wypadku, gdyby ten kodeks istniał już dla mężczyzn, tak, jak istnieje dotychczas kodeks pojedynkowy, i miał taką samą powagę. Wtedy kobiety weszłyby doń, jako równouprawnione. Tworzyć go jednak obecnie dla kobiet, to opierać ich odpowiedzialność honorową na zawieszony w powietrzu pajęczynie.

Kobieta powinna pójść w tej ważnej dla siebie sprawie nową drogą.

Zamiast reformować przestarzały kodeks honorowy, pomyśleć należy o zreformowaniu kodeksu karnego. Dotychczasowe jego przepisy, stawiające sprawy o ubliżenie czci w ogonie procedury sądowej, nie mogą dać żadnej satysfakcji i nie stanowią żadnej poważnej kary za naruszenie najistotniejszej i najgłębszej własności duchowej człowieka: — jego honoru. Samo pojawienie się w wypadku poważnej obrazy w sądzie, aby sprawa rozstrzygana była pomiędzy setkami sporów, wynikłych na tle pokłócenia się dwóch dam

o klucz od góry, lub uszkodzenia sobie fizjognomij przez dwóch „podgazowanych“ panów—jest śmieszne i niemożliwe.

Ale chodzi właśnie o to, aby było inaczej.

Sprawy obrazy honoru, w poważnym znaczeniu obu tych słów, sądzić i rozstrzygać powinny nie sądy pokoju, lecz równy innym—do spraw wielkiej wagi—trybunałom: Trybunał Czci, który posiadałby egzekutywę prawną—moc stawienia przed swe oblicze i moc wykonania swego wyroku.

Tak, jak to jest w Anglii, gdzie kodeks honorowy dotychczasowy niby istnieje, zwłaszcza w arystokracji, ale gdzie każdy gentleman wie, że za obrazę cudzej czci grożą mu nie „rozmówki“, wielomiesięczne pertraktacje i papierowy wyrok, a w najgorszym razie zrobienie paru dziur w powietrzu, lub skrzyżowanie rapierów—ale, w wyjątkowych wypadkach, pojedynki na serjo, a zwykle—szybki i surowy wymiar sprawiedliwości państwowej, któremu towarzyszy surowe potępienie przez opinię.

Ze względów praktycznych nawet, tylko taki trybunał stanowić będzie rozstrzygnięcie i zakończenie sporu bezapelacyjne i ostateczne.

Bo ileż razy zająć może fakt, że sąd jakiejś ligi praw honorowych, czy zreformowanego kodeksu honorowego wyda swój wyrok, przypuśćmy, w sprawie między mężczyzną a kobietą, a niezadowolony z niego osądzony ponownie tę kobietę, lub sam sąd obrazi, albo poirytowany mąż, brat, czy narzeczony zlekceważy wyrok i znieważy drugą stronę, lub ją wyzwie?

Ileż takich przykładów mamy w sprawach między mężczyznami!

Rozstrzygające słowo może tu powiedzieć tylko rozporządzający mocą prawa—trybunał czci.

Do utworzenia takiego trybunału dążyć należy w Polsce.

I jeżeli pracować będą nad tem wszystkie samodzielne kobiety, ich stowarzyszenia i ligi, łącznie ze skierowaną na tę drogę akcją dzisiejszej reformy kodeksu honorowego—institucja taka wejdzie do naszego prawodawstwa.

Kobiecie przypadłaby wtedy wielka zasługa — istotnego zniesienia średniowiecznego barbarzyństwa pojedynku, rozwiązania zaostrzonej od dawnych lat sprawy — racjonalnej obrony honoru, nie kobiet łącznie, lecz całego ogółu.

Natalja Jastrzębska.



ZOFJA MISZEWSKA

KLUBY DZIEWCZĘCE

Ku wielkiemu, prawdopodobnie, zdumieniu Szanownych Czytelniczek, powyższy artykuł, pomimo tak trochę „zagranicznie“ brzmiącego tytułu, bynajmniej nie będzie zawierał opisu jakichś, niewiarogodnie cudownych amerykańskich urzędów, ani nie będzie budowaniem zamków na lodzie, rozpoczynając się od wielkiego okrzyku: „gdybyż!“.

Przeciwnie: pragnie on postawić przed oczami czytelniczek wyraźny zarys konkretnych prac — wykonanych bynajmniej nie „za morzami i lądami“, ale tu, u nas, w naszej starej Warszawce, która ma zwyczaj głośnego krzyczenia o swoich balach i dancinach, a cichutkiego szeptania o ślicznie realizowanych, społecznych poczynaniach.

Ci, którzy zastanawiają się czasem nad różnicą między życiem „powojennem“, a „przedwojennem“, doskonale mogą zauważyć, że tempo prac społecznych

w wolnej Polsce idzie naprzód z doskonałym przyspieszeniem. Aż skrzy się od projektów (czasami, co prawda, mamy do czynienia z przysłowiowym „słomianym ogniem“, ale jednak... nie zawsze), które mają na celu ciągle ulepszanie polskiego życia we wszystkich kierunkach.

Budowanie nowej Polski zaczęto bardzo mądrze, bo od wychowywania jej przyszłych obywateli. Ręka i serce społeczeństwa sięgnęły do warstw najniższych, wydobyły dzieci nędzne fizycznie i moralnie i poczęły je prowadzić po wielkiej drodze prawdy. Zaczawszy od niemowląt (pisaliśmy już kiedyś o żłobkach), poprzez nieocenięone poprostu w swej ważności szkoły powszechne—prowadzi za rękę młodzież aż do chwili, gdy sama o sobie już zdoła powiedzieć — „takie jest moje zdanie“, a jeszcze nie stanęła twarzo wobec przeciwności i pokus. Dotychczas młoda dziew-



Ping - pong

czyną, czy chłopiec, po ukończeniu szkoły powszechnej, wymykał się bezapelacyjnie z pod kierującej jego krokami dłoni, szedł do warsztatu, do sklepu i powoli wyzbywał się tego, co usiłowała weń włożyć, a może nawet włożyła, tylko słabo i połowicznie, szkoła. Jeszcze los chłopców jest mniej niebezpieczny. Może mają więcej odporności, a może, i to jest prawdopodobniejsze, mniej cnót się od nich wymaga. Byle nie pił i nie kradł. Daleko łatwiej jednak może skrócić na manowce dziewczyna. Znamy przecież wszyscy z opinii to specyficznym paryskie słowo — midinetka, Uosabia ono maximum uroku młodości i bez troski, dużo szarych, codziennych kłopotów i... dużo lekko-myślności, która każe brać garściami wszelką, najbardziej powierzchowną radość, aż do zraty samej siebie w błocie bogatej stolicy.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, jak wielki odsetek dziewcząt francuskich z niskich sfer pracuje w wielkich sklepach i magazynach — to wszelkie francuskie stowarzyszenia, mające na celu roztoczenie opieki nad midinetkami, wydadzą się zbyt małą kroplą w morzu mętów.

A u nas?

W Warszawie panny z magazynu, wszelkie „podręczne“, „na posyłki“, „starsze“ i „praktykantki“, zarówno jak nieskończona liczba ekspedjentek — nie nazywają się specjalnie, ani też nie tworzą specjalnej „sfery“.

Wszystkie te panny Broncie, Manie lub Stasie wywodzą ród swój ze stróżowskich suterren, z niskich i mrocznych izb wyrobniczych i wchodzi w rolę szafarek bogactw dziwnym zrzędzeniem losu, a raczej przez jego ironję. To też nie są ani trochę mniej odporne na pokusy wielkiego świata od ich francuskich koleżanek. Co my robimy dla nich?

Zeszłego roku, w 46 numerze Bluszczu ukazał się artykuł p. Szpyrkówny p. t. „Zagadnienia polskiego

Kopciuszka“, omawiający sprawę doli i niedoli, ale raczej — niedoli, naszych rodzimych, polskich midinetek. Wszystko tam jest słusznie i mądrze powiedziane, oprócz tego, kamieniem na nasze sumienia padającego, zarzutu, że się dla nich nic u nas nie robi.

Mój Boże! robi się tak sporo i porządnie, a tu nagle zarzut, że nic! że tylko „Dźwignia“ ma kluby, a Ameryka „Błękitne siostry“, a my — nic, zupełnie nic!

Otóż nie! Nie mamy, co prawda, tak porządnie scentralizowanych stowarzyszeń (zawsze ten system!) jak francuskie „Sindicat professionnel féminin“ lub „L'union féminin civile et sociale“, ale przecież 3 stowarzyszenia, oprócz Magistratu, prowadzą od kilku lat właśnie Kluby, czyli, mówiąc po polsku, Świetlice dla dziewcząt, zapoczątkowane przez „Iwcię“. No, więc nic innego, tylko „Błękitne siostry“. świetlice prowadzi i Polskie Stowarzyszenie Młodych Kobiet, i Koło Polek, i wreszcie specjalnie zorganizowane w tym celu Towarzystwo „Świetlica“, które mechanicznie przejmuje pod swoją opiekę ostatnie klasy szkół powszechnych, bez różnicy płci tym razem.

Polskie Świetlice różnią się zasadniczo od francuskich Sindicat i Union linią wytyczną metody. Francja daje swym pupilkom korzyści realne, od jadalodajni począwszy, a skończywszy na biurze pośrednictwa pracy, wszelki rozwój duchowy i intelektualny usuwając na plan dalszy; — kierunek naszych świetlic jest wybitnie kulturalno-oświatowy i... towarzyski.

Praca w poszczególnych grupach każdej świetlicy polega na częstych zebraniach (raz, lub dwa razy na tydzień), podczas których dana grupa albo uczy się przedmiotu, który sobie sama obrała, albo czyta, albo haftuje. Częste są również chóry i zabawy tańcujące



Kółko haftu

„z chłopcami“, oraz coroczne wyjazdy na wieś, —ła wypoczynku. Nie to jest jednak najważniejsze. Najważniejszą jest czysta, kulturalna atmosfera, w jaką wchodzi młoda dziewczyna, pracując i bawiąc się „jak Pan Bóg przykazał“. Wyniki są podobno doskonałe, tak mię przynajmniej zapewniały miłe „kierowniczk“ poszczególnych grup.

W ten oto sposób zostaje wypełniona luka, jaka wytworzyła się między ukończeniem szkoły powszechnej, a wiekiem, kiedy się już ma mocno ugruntowane zasady.

Dziewczęta widać odczuwają potrzebę świetlic, gdyż garną się do nich chętnie i radośnie. Oprócz, bowiem, Tow. Świetlica, które, jak wyżej wspominałam, przejmuje młodzież mechanicznie, obejmując ostatnie klasy szkół powszechnych—pozostałe świetlice budują swoje istnienie ideowe na dobrej woli młodzieży. I, widać, nie brak jej, skoro świetlica, prowadzona przez Polskie Stowarzyszenie Młodych Kobiet, ma około 300 osób, zaś Koło Polek—przeszło 400, nie licząc pilnie uczęszczanych „Kół starszych“. Oczywiście, że nie możemy założyć beztrasko rąk, z błogiem przeświadczeniem, że zrobiliśmy wszystko. Jest to znowu kropla w morzu, ale nie rozpacziwe nic, o którym pisze p. Szpyrkówna.

Świetlice wychowują całe zastępy młodych dziewcząt, które dzięki nim wchodzą w życie z czemś wię-



Świetlica Koła Polek — Gry ruchowe

cej w sercu, aniżeli marzeniem o jedwabnych pończoszках i perfumach Cotty'ego.

Jestem pewna, że wychowanki świetlic potrafią się wyrzec niejednego, w imię najwyższego Ideału, a gdy zajdzie potrzeba—świetnie zdadzą swój egzamin z życia, nie wahając się ani przed „tak“, ani przed „nie“.



M. H. SZPYRKÓWNA

TRZY KOBIE TY

Obserwuję teraz, korzystając z tłoku rozmaitych sfer, dzielnic i zaborów, jakie się gromadzą po wspólnych uzdrowiskach — różnice. Różnice stosunku kobiet do życia, swoich praw i swojego mężczyzny.

Zdawałoby się, polka — jest to pojęcie wszechobejmujące. Tymczasem, bynajmniej! W różnych ziemiach i dzielnicach charakter tej samej kobiety kształtuje się zupełnie inaczej. I może najbardziej charakterystyczne są trzy przeciwstawienia: królewianka — poznanianka — litwinka.

Królewianka dla swoich sióstr z innych krańców ziemi jest niejako wzorem, a często — ideałem emancypacji niewieściej. Królewianka umiała sobie ujarzmić

życie. Królewianka umiała się postawić na piedestale wobec bezapelacyjnego pana i władcy kobiety poznańskiej — wobec mężczyzny. Trzeba obserwować te stosunki zbliższe, aby spostrzec, że tak jest. I nie zapomnę mego zdumienia i prawie rozbawienia narazie, kiedy od jednej z pań z „najlepszego, naprawdę najwyższej ukulturalnionego zewnątrz i wewnątrz towarzystwa socjety poznańskiej—usłyszałam raz pewnego pobożne niemal westchnienie:

— Mój Boże! jak też wy, z Królestwa, potrafiłyście się postawić wobec mężczyzny! „Mój drogi, chcę iść na dancing“—i mężczyzna idzie. „Mój drogi, pójdziemy jutro na bal“—i będzie bal. Do teatru — i jest

teatr. Wyście naprawdę potrafiły urządzić się, że was traktują, jak królowe!

Powiedzmy, że epitet królewianki dostał mi się narazie niezasłużenie, bo nią nigdy nie^m byłam: reprezentuję nasze najdalsze kresy, Białoruś. Niemniej, ponieważ inne stanowisko wydawało mi się raczej nie do pomyslenia, uśmiechnęłam się mimo woli.

— Przypuszczam, że i panowie z Poznańskiego muszą uwzględniać dezyderaty swoich dam?

— Och! Jak czasem! Ale u was — czy mężczyzna chce, czy nie chce, bawi go to, czy nie bawi: zrobi to, o co go żona poprosi! A u nas... Pewnie, są różni. Ale chciałabym widzieć takiego, który pójdzie na bal, jeśli mu się nie chce! Będzie siedział w domu, i basta!

— No, a jeśli pani chce?

— To... no, mogłabym pojechać bez męża, ale ktoby tam takie rzeczy robił?! Zostanę w domu. Kobieta musi ostatecznie ustąpić, bo i coby to było za życie?!

— Tak? No, przypuszczam, że u nas o tyle jest liberalniej, że ustępują sobie wzajemnie obie strony. Bo — teraz ja powiem to samo — i coby to było za życie?..

Tak mówiłam. Ale — mea maxima culpa!.. mówiłam bez przekonania. W Królestwie istotnie mężczyzna ustępuje kobiecie. Idzie na bal, żyje nad stan, ubiera ją często drożej, niż może, a jeśli tego nie robi — ma w domu piekło. Królewiance nie przyjdzie na myśl zrezygnować... bez dąsu, przynajmniej! z żadnej zachcianki, jeżeli uważa ją za słuszną. Za słuszną zaś uważa, Bogiem a prawdą, każdą swoją zachciankę. Królewiać jest doskonale wytresowany. Wstaje, ustępuje miejsca, wysadza z powozów, otwiera drzwi, kłania się, jest zawsze przyjemny, czy jest mu przyjemnie, czy bynajmniej, słowem — jest szarmantem. Ile razy w Poznaniu widziałam mężczyznę, wchodzącego naprzód, z miną łaskawego władcy, a za nim — kobietę z paczkami! Królewianka rzuca okiem po sali i zmierzcha do stolika, który jej się podobał. Poznanianka czeka, aż mąż wybierze i pokornie zajmie to miejsce, jakie wskaże. Królewianka jest panią swego pana, poznanianka — tylko jego ułaskawioną podwładną. Królewianka ustąpi mężowi, ale musi mieć pozory abso-

lutnej własnowolności prawowicie zachowane! Poznaniance nie idzie wogóle o pozory. Kinder, Küche, Kirche i Karlchen — są jeszcze wciąż w Poznańskim wykładnikiem kobiecej wzorowości. Tymczasem siedm polskich, P królewianki: pobożna, posłuszna, pracowita etcaetera — odeszły zdaje się do czasów zamierzchle prapiastowskich. Zostało tylko jedno, nie-naruszone przez wieki, przykazanie przez wielkie P: powabność! Królewianka chce być przedewszystkiem — powabna. I dla tego jednego ocalałego P skłonna jest poświęcić wszystką resztę.

I cóż jest lepsze?..

Boję się, że mogę być posądzona o stronność, ale co robić! Odwaga cywilna przedewszystkiem! Lepsza jest, mojem zdaniem — kresowianka. Ta, która tworzy stały most pomiędzy dwoma krańcami.

Kresowianka ma stanowisko równomiernie podzielone. Nie jest tyranką-królową, ale i nie jest tyranizowaną niewolnicą. Jest naprawdę towarzyszką swego męża — nie jego zabawką i nie jego gospodynią. Zna godność swego stanowiska — nietylko jego próżność. Zna miarę pomiędzy niewolniczem podleganiem despotyzmowi, a sufrażem małżeńskim królewianki. Ustępuje w imię idei zgody, nie ze strachu przed gniewem. Wymaga, w imię idei, szacunku, sobie należnego, nie przez zaborczość. Jest mniej emacypowana, niż królewianka, w forytowaniu siebie — ale niepomniernie bardziej świadoma swych praw, niż kobieta z Poznańskiego. Wychowała się na tradycji kobiet, które towarzyszyły mężowi w bitwach i oblężeniach, szły z nim ręką w rękę na drogach najtrudniejszych i nieraz bohaterskich, gdzie niema miejsca na stanowisko uroczej laleczki, ani bezwolnej niewolnicy: musiała mieć męską inicjatywę, hart, wolę zapewne! Coś z filigranowej miękkości musiało przez to zginąć, coś z wdzięczku, właściwego „Laszkom-koteczkom“ może się zgubiło. Ale naogół kobieta kresowa jest jednak wśród naszych typów kobiecych tym, który najbardziej nadałby się na typ wzorowy — gdyż łączy w sobie wiele cech dodatnich królewianki, nie zaniedbując zasadniczych wartości kobiet poznańskich — i może on to właśnie powinien stanowić typ, którybyśmy nazwali: polski typ kobiecy!



JANUSZ STĘPOWSKI

WAKACJE

Wszystko było codzien tak, jak wczora:
 — ogród biały i cichy szum lipy,
 — sterty grzały się w słońcu z wieczora,
 — ten sam długi stał żóraw u kłopy.

A za oknem, szumiącym zagonem,
 czarne pola płynęły, jak łodzie,
 — uszytko było szare, nieskończone,
 nieuchwytnie, tak wczoraj, jak codzien...

Zawsze malwy kwitnęły w ogródku,
 a na ławce, podparta na rękach,
 spowiadała się drzewom z swych smutków
 taką sama, jak Prusa, Anielka.

Chochół tłukł się o zmroku w stodole,
 wodnik w studni gwiazdami szeleścił —
 a siwiutka babunia przy stole
 Sienkiewicza czytała powieści.

W każdy wieczór i szarzące rano
 mały Tadzio, przez chwilę żałoby,
 mówił pacierz przed Najświętszą Panną
 za Kmicica i duszę Zagłoby.

Nic ważnego się nigdy nie stało:
 — ktoś zaśpiewał na polu daleko,
 — coś w kominie, jak w sercu, płakało,
 — gdzieś goniły się fale za rzeką.

Przywidziała się oczom niekiedy
 jakaś wstążka po wiejskich odpustach —
 kasztan wtedy miał zapach rezedy
 i kołysał się we śnie na ustach.

Jeno księżyc, włóczęga srebrzysty,
 na gwiazdzistej co noc stawał drodze,
 pisał do mnie tajemnicze listy,
 co świat kładły na jasnej podłodze.



KAROL PORAJ KOŹMIŃSKI

ZWYCZAJNE DZIEJE

Jerzy ma już trochę tych wyjazdów dość. Nie dlatego, by go męczyły zbyt. Jedzie przecież tam i z powrotem z całym możliwym komfortem. Przez cały długi dzień, po oddaniu na miejscu stołecznej poczty i aż do powrotnego pociągu—odpoczywa, jak król—jest teraz lato—nad morzem, lub zwiedza to piękne, nadmorskie miasto; ale uważał już dawno, iż te jego wyjazdy zbyt niepokoją Ire. Szczególniej od pewnego czasu. Od paru tygodni, może już miesięcy. Tak! Jerzy to zauważył i pamięta: od tego dnia, kiedy Ira, cała sploniona, z zakłopotaną buzią, zarzuciła mu obie ręce na szyję, i kiedy on zaczął ją dusić pocałunkami, aż oboje dech stracili, aż:

— I co teraz będzie?! — padło z ich ust niemal jednocześnie.

Tak, napewno. Przed tym wieczorem Ira mężniej znacznie znosiła jego wtorkowe podróże. A teraz—jakoż smutny jest zawsze jej uśmiech ostatni...

Trzebaby może poprosić o inne jakieś zajęcie w ministerstwie. Ostatecznie, da się to zrobić. Jeszcze może przez lato. Potem, późną jesienią i zimą, nie będzie to i tak przecie ani zabawne, ani przyjemne.

Jerzy przekręca kontakt. Ciemno. Dobrze już znana droga. Pozostała w tyle ostatnia bliższa stolicy stacja, i przekroczona dawna granica; teraz przez czas dłuższy, aż do brzegu Wisły, nie będzie już dłuższych postojów, i pociąg zwiększa coraz bardziej swoją chyżość. Tu właśnie, na tej przestrzeni kraju, między dawną pograniczną miejsciną, a starą krzyżacką twierdzą, chyżość ta będzie największa. Mimo pewnych skrętów toru i nierówności terenu, tu właśnie można nadrobić spóźnione, czy stracone minuty. Jerzy zna dobrze swą drogę. Teraz nie śpi jeszcze; ale nawet, gdy zaśnie dobrze z wieczora, tu właśnie, na tym odcinku drogi budzi go zwykle coś, co—on tego nie wie—może ten rosnący, zawrotny pęd, może kołysanie zbyt w wagonu, może jęk trzeszczących jego wiązań?..

I teraz czuwa. Huk małego jakiegoś mostku, łuk zakrętu i rosnący, rosnący niesamowicie pęd. Jakby zgóry na dół, jakby rzut kamienia zgóry na dół. Zda się, że pociąg przestaje się już trzymać szyn, że opiera się ponad wszelkie siły o jeden bok toru i—jeszcze chwila—a stanie się coś strasznego—albo ten pociąg wyleci z szyn, jak pocisk, jak ciało wirujące ze swej orbity i runie w przepaść, w czarny mrok nieznanego, poza wszelką świadomość...

Jeszcze chwila, jeszcze rosnący bieg, rosnący napór na boki, i w chwili, gdy wydaje nam się, że już koniec temu pędzącemu ślepo w noc ciemną życiu—prostuje się nachylenie wagonu, hamulce mają się

kół, dołem z tej wścieklej szybkości coś mrze, coś szumi, uspokaja, kołysze... Nic już. Nie stało się nic złego. Piers odetchnie głębiej, pracuje spokojnie serce. Nic. Nie było żadnego niebezpieczeństwa; za parę godzin obudzi nas dzień w miejscu, dokąd dążymy. Ktoś przecie czuwa nad tem, by wszystko było, jak należy.

„Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś...”

To są zwyczajne dzieje...”

I w chwilę potem zwykle Jerzy już zasypia, nie troszcząc się o bieg pociągu, ani o noc czarną, zasypia, jak w białym domku własnym, jak w tym domku, gdzie kiedyś... i teraz... Obudzi go dopiero złoty promień słoneczny, wciskający się wąską szczeliną między niedomkniętą żaluzję okna i ścianę wagonu, stukanie do drzwi przedziału i donośny głos pana Wosika, dążącego korytarzem wzdłuż wagonu:

— Za pół godziny jesteśmy na miejscu!

* * *

W drodze powrotnej. O tej porze, latem, od morza, mało kto jedzie: pociąg prawie pusty. W błękitnym wagonie jedzie może 2, czy 3 pasażerów. Jerzy przez cały dzień był na wybrzeżu, na piasku, w blasku słońca i w błękitnym powietrzu. Wieczorem wpadł do gmachu ekspozytury, zabrał, co należało—Bogu dzięki—jakąś tym razem małą paczkę listów, która zmieściła się do neseseru, posiedział jeszcze chwilę gdzieś przy kawie i muzyce i teraz jest sam w swym przedziale. Za parę minut pociąg odejdzie.

— Wieczór jest trochę chłodny. Albo może trochę zadługo siedziało się na wybrzeżu—leniwie myśli Jerzy. Jakby trochę gorączki, senność, chwilami—dreszcz.

— To może z niewyspania.

I Jerzy zamierza spać, jak tylko pociąg ruszy. Teraz jednak stoi jeszcze na korytarzu wagonu w oknie, patrzy na zegar peronowy, na leniwie poruszającą się wielką wskazówkę i na nowego konduktora sleepingu, który dziś jedzie stąd poraz pierwszy, i którego Jerzy nie zna jeszcze. Nie podoba mu się ten człowiek. Jego blada twarz, szczerząca zęby w uśmiechu, (rozmawia w tej chwili z kimś ze służby kolejowej) i głębokie oczodoły robią przykre wrażenie. Wrażenie to wzrasta jeszcze, gdy wreszcie wielka wskazówka zegara dobiła do mety i dano sygnał do odjazdu. Wówczas do uszu Jerzego wyraźnie dobiegło zdanie, wyrzeczone pośpiesznie w obcej mowie: „Szczęśliwej podróży, panie Tod!” I w tej chwili konduktor sleepingu wskoczył do wagonu i zatrzasnął drzwi za sobą.

Pociąg ruszył.

— A więc wiezie mnie pan Tod.—Jerzy uśmiechnął się, a w jakiś czas potem leżał już pod kołdrą. Uczucie chłodu minęło. Teraz, przeciwnie, — robi się coraz cieplej, ale jednocześnie z tem zjawia się jakiś leniwy, niemiły szum w głowie, niesmak. W dodatku na jednej ze stacyj pociąg, bez wyraźnego powodu, stoi dłużej, niż normalnie.

Jerzy odsuwa drzwi. Na peronie słychać kroki tam i z powrotem. Palą się nieprzyjemnym, migotliwym światłem wielkie elektryczne lampy. Tuż przy drzwiach przedziału plecami zwrócony mundur brązowy.

— Dlaczego stoimy, panie...

— Tod, Herman Tod, do usług... Pytałem urzędnika ruchu: linja była zamknięta przez jakiś opóźniony pociąg tranzytowy. Ale zaraz jedziemy, a tam, za Wisłą, między starą granicą, nadrobimy swoje...

— Dziękuję panu.

— Dobranoc.

— Dobranoc, panie Tod!

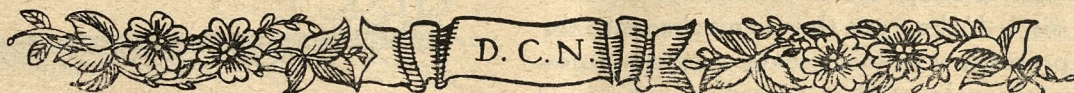
Zgrzytnęły łańcuchy i pociąg potoczył się wreszcie w dalszą drogę. Teraz zasunięte już znów drzwi przedziału, zgaszona nawet błękitna lampka nocna;

wagon się jednostajnie kołysze. Pusto, cicho, tylko ten jednostajny, rosnący stuk kół.

* * *

Już dawno została w tyle srebrna wstęga Wisły. Uciekają gdzieś, hen, na boki, małe, senne jeziora i równe, jakby strzyżone pod sznur, lasy sosnowe, zagaje. Nocą z mokrych miejsc, z łąk torfiastych, z nad zarosłych stawów wstaje opar, pasmami mgły wólczy się w powietrzu. Ten świat śpi. Kiedyś, przed wiekami, bił tu nieraz w niebo jęk, dym zgłiszczy. Wydzierano tę krainę z rąk do rąk w krwawych zmaganiach. Nie jeden w zimnym stawie opadł na dno trup. Przewaliła się nie jeden raz tędy ciężka, żelazna, miazdząca wszystko — nawała bitwy; sypano nowe kopce graniczne, by wiedzieć, gdzie ma być „moje“, a jest „twoje“—i oto znów ta ziemia dziś jest nasza, po naszej ziemi pędzi dzwoniący o szyny kołami, jakby mieczami o zbroję, nasz pociąg, a tam, na wschód słońca, taką samą ziemię, jak ta, z takiemiż samemi ludźmi...

Tak chcą prawa ludzkie. I tak ma być. Za każdym razem, gdy między chatami chłopskimi z czyjegós nakazu chłopskie ręce nowe sypią kopce graniczne—ma to już być na wieki. Idą nowe pokolenia i—odwraca się karta.



M. MOROZOWICZ-SZCZEPKOWSKA

4)

WILLA POD MIASTEM

(nowela)

Dwa dni trwało przebudowywanie kanałów. Dzień — wynoszenie gruzów, gliny, zamiatanie i okurzenie ścian. Dwa dni—szorowanie, zaciąganie, wreszcie froterowanie podłóg; wreszcie—czyszczenie i ustawianie mebli.

— Jak po spaleniu—mamrotała Janowa.

Zapalono w piecach. Furczały znakomicie. Śwedu ani śladu.

Zdaje się, że się obejdzie bez przerabiania kominów.

Pani odetchnęła pełną piersią. Zapłaciła sto złotych i, uszczęśliwiona, siadła do fortepianu.

Co za radość! czysto, ciepło, pachnie!..

Przedtem także przecie było ciepło i czysto, a nie odczuwała tej przenikającej do głębi radości... na to więc, aby doznała takiej właśnie sensacji, trzeba było spędzić kilka dni w brudzie, zimnie, niechlujstwie...

Szczęście więc jest wtedy, gdy niema nieszczęścia.

Dwa dni minęły w błogiej ciszy. Otaczały ją fale spokoju i zadowolenia. Z otuchą patrzyła w swoją muzyczną przyszłość — rozkoszowała się samotnemi, pełnemi ciszy spacerami i powietrzem pokoi, które niedawno były areną burzenia i powstawania nowych kanałów dymnych.

Pan wrócił z polowania, przywiózł lisa. Opowiadał o swoich triumfach myśliwskich. O zającu, którego zabił, ale zostawił temu pocziwemu leśniczemu; o dziku, do którego spudłował; o kunie, której o mały włos nie zabił; o wycinku, którego zabije na pewno na przyszłym polowaniu.

Pani, wewnątrz pogodna i uspokojona, usiłowała rozbudzić w sobie zajęcie do tej miłej rozrywki, wypytywała więc o szczegóły polowania.

Pan, miło tem ujęty, mówił dużo i coraz więcej, myśląc w duchu: przecież włoży się w to, że jest żoną myśliwego!

— Zobaczysz, i ty nabierzesz zamiłowania do myśliwstwa... trzeba żebyś... zaryzykowała... pojechała kiedy ze mną na polowanie.

Pani uśmiechnęła się. Nie protestowała, nie chcąc wywoływać dysonansu. Poraz pierwszy od kilku miesięcy położyli się spać, nie czując do siebie urazy.

W nocy obudził panią znany, ohydny, nieznośny śwad.—Piec!—Usiadła na łóżku przerażona, oblana potem. Wszak oba piece przestawiono...

Chyba jej się przyśniło. Zlała skronie wodą kolońską. Zasnęła. Gdy zbudziła się rano, pan już wychodził.

— Czy mi się zdaje... znów ten śwad...

— Co za bajki! przecież dałem ci sto złotych na reperację pieców... nie będę pracował na same tylko piece!...

Konieczność przełamania „babskich“ fochów zadokumentował pan silnem trzaśnięciem drzwi i wybiegł na stację. A pani została w łóżku. Mdliło ją i głowa bolała coraz dotkliwiej. Ten obrzydliwy, znajomy smród! coś, jak sadze, jak dym, jak smoła, jak wszystko razem...

Tyle trudu i brudu, zachodu i kłopotów na nic: piece dymią nanowo! Niepodobna w tem żyć!

Zwlokła się z łóżka, zupełnie zniechęcona do życia, wzięła proszek, wypila herbatę z cytryną, potwierała okna, zakazała palić w piecach.

Napisała do zduna, wzywając go natychmiast.

Porozrzucane rzeczy pana panoszyły się na wszystkich stołkach, rozkładały po wszystkich kątach. Należało je uporządkować.

Między łóżkami stały zabłocone, brudne, rozsznurowane, z rozchełstanemi paszczami pustych wnętrzbuciska.

— Trzeba je oczyścić, Janowo!

Schyliła się pani, ujęła jeden z buciarów, ostrożnie, w dwa palce.

Ah, co to jest? ależ nieomylnie... wstrętny, wnikliwy, ohydny, dobrze znany, bezlitośny, wywołujący torsje smród!.. Ból, nieporządek, bezład, strata czasu, zdenerwowanie—wszystko to zrodziły ordynarne, głupie, prostackie, śmierdzące — buty!

Upostaciowanie jej ostatecznych rozczarowań — symbol rzeczywistości, na którą zgodzić się nie chciała.

Chwyciła je oba, jeden za drugim, każdy w obie ręce, i rzuciła z pasją przez okno na śnieg.

Rozpoczęła poszukiwania na stole, pełnym ważek, misek, smarów, pakuł, rzeczy obcych i niezrozumiałych, nowych i znieawidzonych.

Jest... czarna flaszka... z płynem, postaciującym wszystkie fetory piekieł!..

I flaszka poszła za okno. Z pamięci poczęły się wyłaniać nieporozumienia... biegly jedne za drugimi,

jak film, szybkie, jaskrawe, szarpiące nerwy, buntujące krew...

Jeden but stał na śniegu, zwrócony piętą do jej okna, jakby zerknął, niby to nie zwracając na siebie uwagi; drugi, przewrócony na bok, otwartą cholewką patrząc w twarz pani, zdawał się śmiać serdecznie, ubawiony, iż zakpił sobie z ludzi!

Nadbiegły pieski. Jęły targać, podrzucać, wyrwać sobie, gryźć i rozszarpywać buty.

Snać smaki, zawarte w skórze, ponętne były dla pieskiego podniebienia, bo po godzinnej igraszce z butów pozostały tylko porozrzucane po śniegu mosiężne kółka i podeszwy ze sterczącymi ruinami przyszew.

Reszta została zjedzona i porozpluwana po podwórzu.

Pani, pochylona nad biurkiem, pisała:

„Wyjeżdżam na czas nieograniczony. Mam wrażenie, że obejdiesz się bezemnie doskonale. Ja zaczynam na serjo pracować“...

W miesiąc potem „Sonata“ została sprzedana.

K O N I E C



TEATR LETNI

„Druga młodość“—farsa Scheinpfluga, przekład A. Zagórskiego, reżyserja Janusza.

Farsa może być głupia, ale ta głupota musi mieć swój nerw i styl, musi być podszyta zręcznością poliszynela, jurnością Marchołta, albo chłopskim sprytem Sanszo Panszy, żeby nietylko wywołać w widzu bezmyślny, pobłażliwy śmiech, ale i wsączyć w jego podświadomość tę odrobinę zadowolenia estetycznego, która, jak kropla cennego olejku, przepoić może szlachetnym aromatem nawet szafę, pełną starych rupieci i spłowiałych gałganków.

Niestety! „Druga młodość“ jest takim składem tandety, wielokrotnie nicowanej i przykrawanej na rozmaite figury, ale pozbawionej zupełnie tej myszki staroświecczyzny, tego „bukietu“ włóczkowej małomieszczkańskiej rzeczywistości, jakim tchną wszystkie komedje Bałuckiego i Blizińskiego. Przyczyną tego zjawiska jest krańcowa tępota estetyczna autora, który do nowoczesnego, nawskroś aktualnego, tematu zmobilizował landwerę wysłużonych efektów scenicznych i ruszył z barłogu cały dom inwalidów krotochwilnych, a nie mógł się zdobyć choćby na jednego zdrowego, młodego rekruta, na jeden świeży, trafny, własny żart.

Wskutek tego „Druga młodość“ wygląda na scenie, jak ten dumny Kazio z bajki, w kamizelce, prze-

robionej z ojcowskich spodni. Zadziera biedactwo nosa do góry, ale nic to nie pomaga: fetor starzyny jest nieuleczalny. Chwilami, siedząc w klasycznej budzie Teatru Letniego, miało się wrażenie, że oto mamy przed sobą doskonałą parodię prowincjonalnego teatru z Mrzygłodu. Przygodni amatorzy krzykiem, szarżą i przesadną gestykulacją pokrywają treść i brak obycia ze sceną; paru „zawodowców“ z trudem, ale bez powodzenia, stara się utrzymać na powierzchni tego jarmarcznego bałaganu, którego płaskość już nie śmieszy, ale wręcz przeraża.

Halinka Rapacka była pulchna i miła, jak czeski knedelek ze śmietaną; toalety pani Chaveau stały na wysokości zadania: były przerażające. Powaga i spokój p. Chmielińskiego miały tragiczny patos rezygnacji. Kazać takiemu artyście grać w farsie i to—w takiej farsie!? Czy nie padamy ofiarą jakiejś bolesnej omyłki? Co znaczy ten olimpijczyk między kurami, grzebiącymi w śmietniku? A może to był ten najdowcipniejszy „kawał” reżyserji, na którym my, w prostocie ducha, poznać się nie możemy? S. P. O.

TEATR POLSKI:

„Hokus-Pokus“— sztuka w 3 aktach z prologiem i epilogiem
Kurta Goetza—przekład A. Waldenbergowej—prolog i epilog zlokalizował Ten—reżyserja Borowskiego—dekoracje Frycza.

Parodia nie jest tak łatwą formą literacką, jakby się to napozór zdawało. Gruby błąd popełniają ci, którzy biorą się do „pomniejszania olbrzymów“ tylko



Milla Kamińska w sztuce „Hokus-Pokus“ w teatrze Polskim.

dlatego, że im samym nie starczy oddechu na samodzielną twórczość. Nie każdy pasożyt jest wiecznie zieloną jemiolą, choćby rósł na dębie. Parodjować można i trzeba: parodia jest odruchem zdrowego organizmu ludzkiego, który buntuje się śmiechem przeciw tyranji patosu, na którego dnie tkwi zawsze osad chorobliwej egzaltacji. Parodia jest wyczynem, stojącym na granicy artyzmu i sportu, teatru i cyrku—twór z dziedziny „sztuk“, które tyleż mają w sobie ze sztuk „pięknych“, co ze sztuk „łamanych“.

Parodysta musi w sobie nietylko łączyć zręczność zonglera ze smakiem wytrawnego estety, ale musi mieć w sobie instynkt komizmu, zrosnięty z geniuszem detektywa, chwytającego swą poetyczną i patetyczną ofiarę na gorącym uczynku nonsensu i śmieszności.

Czy autor „Hokus-Pokus“ ma choć jedno z tych „znamion szczególnych“? Ani jednego. Porwał się na sparodjowanie, czy podrabianie Pirandella, jak z motyką na słońce. Rezultat krótki: słońce nie zgasło, motyka pozostała motyką i to w dodatku zardzewiała i tępa. Ekspozycja sztuki wyjątkowo szczęśliwa, obiecuje bardzo wiele, tak wiele, że w drugim akcie wrażenie przykrej niespodzianki góruje zrazu nad niepokonaną nudą. Parodię sądu widzieliśmy już nieraz, ale nigdy nie była tak niedołączną i rozwlekłą, jak na ostatniej premierze. Sala widzów, nad którą wisiał transparent: „Ława przysięgłych“, wydała jednomyślny wyrok potępiający:—„skrócić ten akt o głowę!“— A w przerwach pomiędzy jednym ziewnięciem a drugim słychać było żalodne westchnienia: „Ołówka! na Boga, jaknajwięcej ołówka reżyserkiego!“

Przypuszczam, że te błagania nie będą głosem wołającego na puszczy i że następne przedstawienia, skrócone o głowę, a przynajmniej o półgłówek autorski, zyskają na tempie i zwięzłości. Trzeciemu aktowi, który jest szczytem naiwności, nic nie pomoże—nawet przesłiczna toaleta Mili Kamińskiej.

Prolog i epilog doskonale zostały zlokalizowane przez Tena. Szkoda, że to samo cięte pióro, w którym znać rasowego kpiarza, nie przesaczyło trochę własnego inkaustu w bezkrwiste żyły całej sztuki, poprostu omdlewającej z anemji.

Najdowcipniejszym momentem prologu i epilogu był Stanisław Żeleński, syn Boy'a, ucharakteryzowany na papę i „odwalający“ jego ulubione kawały z zacięciem znawcy i amatora. Szkoda, że niektórych wyrażen trzeba chyba szukać w słowniku, bo w mowie potocznej przeciętnych inteligentów rzadko się je spotyka. Duch Rabelais'ego pokutuje najoczywiściej w ciele kochanego Boy'a.

Maszyński był idealnym odtwórcą roli tytułowej. Wcielił w nią tę całą zręczność zonglera, jakiej brakło autorowi. Samborski pocił się i szeplenił, jak pokątny doradca z prowincjonalnego sądu, ale nie jak sławny adwokat. Przychodziło mu to tem łatwiej, że upał był siarczysty. S. P. O.

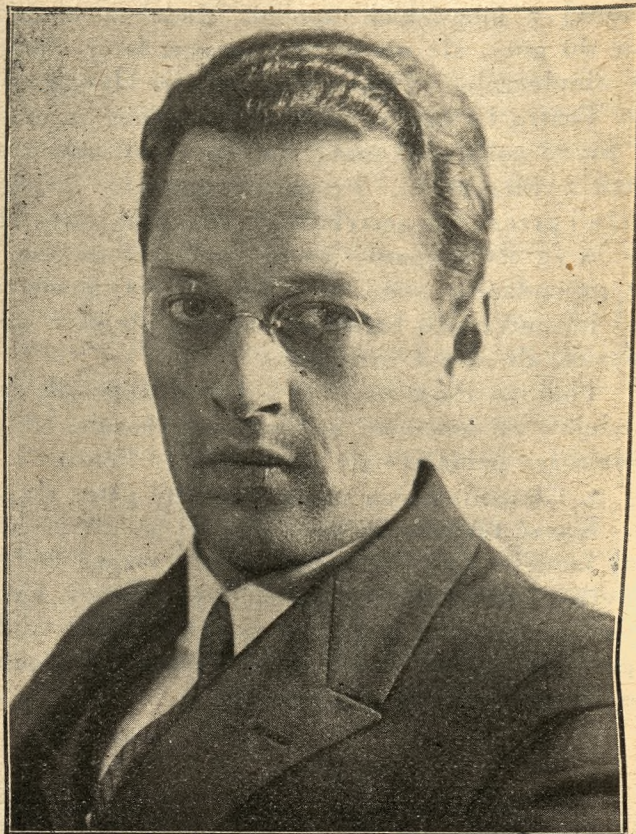
NASI OLIMPIJCZYCY

Dzień po dniu przynosił wieści o zwycięstwie. Trzydziestego pierwszego lipca poraz pierwszy sztandar polski załopotał na maszcie Igrzysk Olimpijskich w Amsterdamie. Stało się to dzięki Halinie Konopackiej, która przez swój rzut dyskiem nietylko ustanowiła nowy rekord światowy (39 mtr. 62 ctm.), ale imię Polski rzuciła znowu na szalę międzynarodowego rozgłosu. O sympatycznej i urodziwej sławie polskiego sportu pisaliśmy nieraz na tem miejscu.

Przypomnieć warto, że p. Halina Konopacka jest warszawianką, ze sportem zetknęła się poraz pierwszy w 1921 r., kiedy to, ku wielkiemu zdumieniu koleżanek i kolegów A. Z. S., przepłynęła w szeregach pod Warszawą. Doskonała pływaczka jeła się wkrótce lekkiej atletyki; rzucanie dyskiem i kulą stało się jej specjalnością. W roku 1925 jej rzuty 34 i 35 metrowe postawiły ją w rzędzie najlepszych dyskobolek świata. Na zawodach europejskich dwa lata temu,



Halina Konopacka



Kazimierz Wierzyński

w Göteborgu, ustanowiła rekord świata (37 mtr. 84 ctm.). Wskutek jednak intryg międzynarodowych uznano za rekordzistkę Niemkę (Reuter), która w obecnych zawodach olimpijskich osiągnęła czwarte miejsce. Dziś triumf Konopackiej jest pełny i niezaprzeczalny.

Drugim wydarzeniem pierwszorzędnej dla nas wagi było rozstrzygnięcie olimpijskiego konkursu artystycznego w d. 1 sierpnia. Polska otrzymała pierwsze miejsce w dziale poezji—za tom Kazimierza Wierzyńskiego, p. t. „Laur Olimpijski“, a w dziale malarstwa trzecie miejsce — za drzeworyt Skoczylasa „Łucznik“. Walory twórczości Wierzyńskiego dostatecznie są znane czytelnikom polskim. Cudzoziemcy mieli możliwość ocenić je dzięki doskonałemu przekładowi „Lauru Olimpijskiego“ na język niemiecki, dokonanej przez H. J. Michela. „Łucznik“ prof. Władysława Skoczylasa, jednego z mistrzów polskiej grafiki, musiał zafascynować sędziów nietylko znakomitą techniką, ale i swoistą ekspresją ruchu, plastyczną wymową mskulatury, właściwą dziełom znakomitego artysty.

Zaznaczyć należy, że ani w jury poezji, ani w jury malarstwa nie zasiadał żaden polak. Bezstronność sędziów zatem jest gwarantowana. Konkurencja w dziale literatury była b. poważna, jak to zaświadcza prof. Mieczysław Treter, prezes komisji sztuki przy polskim komitecie olimpijskim. W zawodach brało udział 10 państw: Austria, Belgja, Danja, Francja, Holandja, Niemcy, Polska, Szwajcarja, Węgry i Włochy, Ogółem brano pod uwagę 30 utworów. Na wystawie plastycznej reprezentowanych było 18 państw.

OBRAZY Z HISTORJI MODY

V. EMPIRE I WSPÓŁCZESNOŚĆ

W tej całej powodzi wynaturzonych form, która zalała Europę mniejwięcej od połowy średniowiecza, aż do końca wieku XIX,—krótki okres cesarstwa Napoleońskiego—Empire—wydaje się jakgdyby wysepką. Imperjum francuskie podnieciło marzenia o dawnym imperjum rzymskim. Niebardzo rozumiano, coprawda, sens i istotę życia starożytnych, ale nagwałt chciano się do nich upodobnić. Wydawało się tym ludziom, że jeśli ubiorą się w miękkie suknie, a włosy zwiążą w grecki węzeł, że jeśli motywami greckimi i rzymskimi ozdobią swoje krzesła i stoły—to w ten sposób zrzucą z siebie dziedzictwo wieków i zamienią się w prawdziwych rzymian. Klasycyzm stał się ich hasłem i mianownikiem ich dążeń,

Dla nas ów klasycyzm napoleoński, który poprzedzony jest zresztą przez okres wstępny dyrektorjatu, wydaje się jakąś mieszaniną wielkiej ilości pierwiastków, eklektycznym zbiorem, w którym nieśmiało tylko przemawia istotna i szczerą wola artystyczna ówczesnych ludzi.

Ciekawe jest, że stylizując się według sylwety rzymskiej, osiągnęli oni nietylko dostojną wielkość linii ubioru starożytnego, ile raczej pewną drobiazgowość: zgubili się w szczegółach. To, co zyskali istotnie, to było uproszczenie formy i większa swoboda ciała. Znika nagle wszelkie skomplikowane dessous. Pod tym względem tendencja bardzo zbliżona jest do naszej nowoczesnej: jak najmniej pod spodem!—Karykatury ówczesne dosadnie wyśmiewają panie, pod których obcisłą suknią rysują się wyraźnie ich kształty. To pokazywanie ciała ma tam ciągle jeszcze charakter przekraczania i dalekie jest od tej bezpośredniej prostoty i oczywistości, z jaką obnażały się Greczynki. W okresie tym czuje się jakgdyby, że idylla prostoty i klasycyzmu skończy się bardzo prędko. Skończyła się w istocie w momencie, w którym Napoleon wyładował na wyspie św. Heleny. I przez lat blisko 80 nie pozostało z niej w Europie ani śladu.

W tych latach 80-ciu przewaliły się przez Europę w miniaturze, bez wdzięku i zdeformowane, najważniejsze formy stylizacji postaci. Wróciła krynolina i wynaturzyła się w straszliwą turniurę. Gorset ścisnął kobiety i więził je aż do wielkiej wojny. Tylko że te formy stylizacji miały wszystkie złe strony gwałtu, zadanego prawom ciała, a nie posiadały ani jednej z wysokich zalet artystycznych. Nie ostała się ani fantastyczność pomysłów, ani bogactwo kolorów, ani szlachetność materiałów, ani jednolitość kompozycji. Narodziny demokracji Europy odbiły się na ubiorze przerażającym upadkiem poczucia formalnego. Ale tylko jej—narodziny. Jej honor ratujemy—my.

Istotnie, od dłuższego czasu jesteśmy pierwszymi, których ubiór zawiera jakiś sens artystyczny i jakąś

myśl logiczną. Zdobyliśmy znowu jakiś bezpośredni i prosty stosunek do własnego ciała. Tylko, że w tym procesie kobiety idą przed mężczyznami. Błogosławione uproszczenie i prostolinijność ubioru nie objęły jeszcze stroju mężczyzny; ale wyzwoliły kobietę. Suknia dzisiejszej europejki nie jest naśladownictwem żadnego typu ubiorów z przeszłości, lecz konsekwentnie dostosowuje się do warunków naszego życia. Byłoby dziś niepodobieństwem, w luźnej, powłóczyściej szacie i długim himationie wskakiwać do tramwaju na środku rojnej ulicy. Dynamizm naszego nowoczesnego życia chwycił w swe dłonie wszystkie kobiety, bez różnicy wieku i tuszy. Zmusił do urobienia się w myśl praw i wymogów aktywnego życia. Minęły czasy spokojnego i uroczystego gestu, na który mogli sobie pozwolić Grecy:—my dziś musimy mieć możność wykonywania ruchów szybkich, ćwierćsekundowych, zdecydowanych (trzeba umieć uciekać przed samochodem) i energicznych. Nasze suknie krótkie, prostolinijne, nie są jednak tylko produktem czysto zewnętrznego przystosowania się do warunków. One odpowiadają nam wewnątrz. Nasze poczucie formalne uległo zmianie: my nietylko jesteśmy zmuszeni do uproszczenia, ale ono jest naszym najistotniejszym wyrazem.

Na terenie mody doszło do syntezy, która nie dokonała się jeszcze w żadnej dziedzinie sztuki. Po-



Dama w stroju empirowym



Karykatura tualety przedwojennej

łączył się duch europejski z duchem Ameryki. Elegancja, wykształcona na tradycji wieków, miękkość i kapryśny wdzięk starego świata—zbratał się ze zdrową, nieco brutalną, ale świeżą prostotą amerykańską. Z tego małżeństwa zrodziło się dziecko, pełne egzotycznego wdzięku. Nazywa się — la garçonne.

Dr. Stefania Zahorska.

UPRZEMYSŁOWIAJMY NASZE SADY

Ogólnie jest popularną w Polsce prawda, że sad, to cię ż a r, niedający żadnego dochodu, k ł o p o t, sprowadzający jedynie na kark żyda, podnajemcy owego ciężaru, który, lichy wie, poco posadzili ojcowie! Boć przecie na własny użytek starczyłoby kilkanaście drzew, nie zaś kilku, często kilkunasto-morgowa przestrzeń, zasadzona drzewami owocowymi, oraz krzewami jagodowymi, wydającymi sto-procent zadużo płodu, niż to potrzebne do wyżywienia właściciela i jego rodziny.

Krótko mówiąc: sad owocowy — to bête noire każdego gospodarstwa rolnego w Polsce.

Gdy odwiedzamy naszych przyjaciół i znajomych wysłuchujemy jeremiady, poprostu, nad kłopotami, związanymi z posiadaniem sadu; patrzymy ze zgrozą na całe sterty gnijących najwyborniejszych jabłek i gruszek; w ostatecznym, najlepszym razie, widzimy obozującą w sadzie rodzinę pejsatych brudasów, którzy za grosze, dosłownie—grosze, wywożą towar, za który my, w mieście, płacimy złoty do dwóch za kilogram.

Tak się przedstawia sprawa sadownictwa w Polsce.

Doprawdy, zaszczytu to nam nie przynosi: dowodzi doskonałego niedołęstwa i potwierdza opinię, że niema bardziej rozrutnego człowieka, nad polaka.

Oczywiście, że w stanie, w jakim są obecnie, sady nasze nie mogą dać dochodu, przeciwnie: sprowadzają moralne obrzydzenie; boć przecie rolnik, widząc całe sterty gnijącego płodu ziemnego, musi czuć coś w rodzaju mdłości moralnych — dlatego w końcu sprowadza owego żyda, dając mu za parę groszy zbiór z kilku-morgowej przestrzeni. Żyd ze swej strony także nie robi na tem majątku, bo przewiezienie towaru, nieraz parę wiorst do najbliższego miasteczka, to koszt duży; przytem obijanie się, a więc zepsucie delikatnego owocu zmniejsza do minimum jego wartość. Nikt więc, właściwie, na tem nie zyskuje, że właściciele naszych sadów nie potrafili zorganizować należytego wyzyskania swoich bogactw.

A przejdźmy choćby pobieżnie, co możemy uzyskać z kilkumorgowej przestrzeni sadu, otaczającego nasz dom.

Czereśnie więc, o ile mamy pod ręką nabywcę, sprzedajemy wprost z drzewa. O ile nabywcy, z powodu oddalenia od miasta lub kolei, nie posiadamy—wydrylowawszy je, smażymy na konfiturę, lub, sposobem kijowskim, na sucho; poczem układamy w pudełka i zbywamy w sezonie zimowym za cenę, która nietylko pokryje koszt przetworzenia, ale da dochód.

Gruszki (letnie, oczywiście), przekrawając na półkę, suszymy na amerykańskiej suszarni (którą musimy posiadać, posiadając sad) i przechowujemy w skrzyniach na strychu, w miejscu przewiewnym i suchym, lub, obrawszy z łupiny, smażymy znów na konfiturę, lub na sucho w miodzie (jest to prawdziwy przysmak).

Jabłka letnie, jeśli do kolei lub miasta trudno dowieźć, suszymy znów na suszarni, lub przerabiamy na galaretki — z soku, który ścieka — z miąższu zaś robimy znakomite sery, których trwałość jest rekordowa (a więc znów towar zimowy).

Śliwki, oczywiście, suszymy, lub gdy posiadamy gatunki wyborowe, jak renklody cesarskie, przerabiamy na konfiturę.

Z wiśni smażymy rozchwytywane na każdym rynku soki i konfitury; z malin—to samo; porzeczkami używamy—zarówno białe jak czerwone—na galaretki, z czarnej porzeczkami smażymy wyborną, amatorską konfiturę. Niema więc jednej jagody, ani owocu letniego, którego byśmy nie zużyli zupełnie i nie zama-

gazynowali do świetnego przechowania, aby rzucić na rynek, gdy znajdą swą cenę i zastosowanie.

Łupiny, które odchodzą przy obieraniu owocu, przerabiamy na ocet owocowy, o czym pisałam na innym miejscu.

Owoce zimowe zbywamy hurtem lub częściowo, w miarę dojrzewania ich w naszych piwnicach; z zepsutych, po usunięciu miejsc, objętych pleśnią, robimy w dalszym ciągu, zimą, sery.

Koniecznością więc, nie luksusem jest dla właściciela sadu suszarnia.

Włożony kapitał, który się szybko zamortyzuje, przysporzy posiadaczowi dochód znaczny i stały, a na rynek nasz rzuci towar, poszukiwany i stanowczo niezbędny.

Pamiętajmy również, że, posiadając suszarnię, suszymy już na niej i warzywa, a więc znów plód rolny, który w warunkach naszych marnuje się i procentuje marnie.

Oczywiście, nie liczymy na to, że pracę tę podejmą mężczyźni, którzy i tak zresztą mają wiele roboty przy swoim dziale rolnym — pracę tę podjąć musi ziemianka.

Jest to robota sezonowa, wykonać ją można rękami wyłącznie kobiecimi, a nawet dziecięcimi, nie jest bowiem ciężka; a przypomnijmy sobie, wiele pań i panienek we dworze się nudził z prawdziwą radością podejmą one pracę, nie tylko dającą dochód, ale i miłe poczucie, że się jest człowiekiem użytecznym, a tem samem — potrzebnym.

Dodać jeszcze muszę, że przy sadzie celową, bo wpływającą dodatnio na zapłodnienie drzew, jest pasieka, która—wiemy o tem bardzo dobrze—przynosi świetne dochody; a ze wszystkich owoców i jagód wyrabiać możemy winą owocowe, które, doprawdy, każdy dwór powinien mieć, tak jak ma we Francji każdy najuboższy rolnik.

Różnica polega tylko na tem, że we Francji przerabia się winne grono, a u nas—jabłko, porzeczkę, lub czarną jagodę. Rezultat tych przetworów—wino—tu i tam powinno być na każdym stole rolnika.

O tem jednakże pomówimy następnym razem.

mar.-mor.

GOŁĘBIE

Grupa siódma: — Garłacze.

Garłacze biorą swą nazwę od specjalnego uzdolnienia wydymania wybitnie występującego wola. Cechę tę posiadają zarówno samce, jak i samice. Uwydatnia się ona szczególnie w czasie silnego podniecenia.

Garłacze odznaczają się wydłużoną budową ciała, wysokimi nogami, długimi skrzydłami, oraz ogonami.

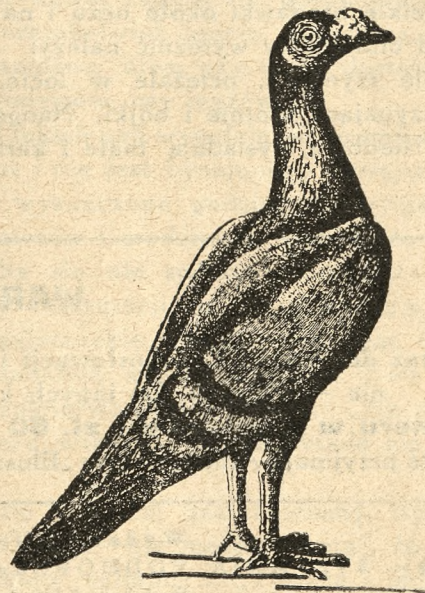
Garłacze dzielimy na dwie zasadnicze grupy: Garłacze-olbrzymy i Garłacze-karzelki. Odmianą polską jest garłacz-olbrzym, zwany Stawak. Nazwę swą Stawak zawdzięcza właściwości stawiania wola ku górze w czasie wydymania takowego; jego cechą swoistą jest latanie z wydętym wolem, czem nie mogą pochwycić się garłacze angielskie, francuskie holenderskie, berneńskie, saskie i inne.

Grupa ósma: — Gołębie wschodnie, czyli Brodawczaki.

Wspólne brodawczakom cechy są: silnie rozwinięta woskówka nosowa, tworząca brodawki i fałdy, brodawkowate obwódkiokoła oczu, silny u nasady dziób, nieupierzone nogi, jednobarwne, lśniące upierzenie całego ciała.

Do brodawczaków zaliczamy również gołębie, zwane Indjany, noszące również miano berberyjskich. Nadwyraz łatwe do oswojenia, żywego usposobienia, wymagają drobiazgowej i starannej pielęgnacji.

Wśród brodawczaków specjalną uwagę zwrócić należy na gołębie Kariery, które posłużyły swego czasu anglikom do wyhodowania dzisiejszych gołębi listonoszami zwanych. Kariery, o doskonałym wzroku, silnym i wytrwałym locie, odznaczają się wielkiem przywiązaniem do gniazda rodzinnego. Kariery tarantowate należą do rzadkości. Spotykamy przeważnie gołębie tej odmiany w kolorach jednobarwnych: czarnym, czekoladowym, lub niebieskim.



Rys. 3

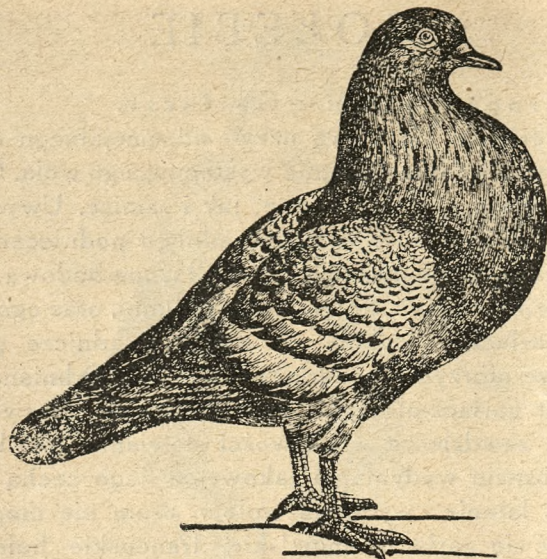
FARBY DO MALOWANIA NA TKANINACH I SKÓRZE

Batiki, Liwor i obsypki, wzory oraz farby i WSZELKIE
ARTYKUŁY ARTYSTYCZNO-MALARSKIE w wielkim
wyborze i po cenach konkurencyjnych poleca

JULJAN BUROF

Nowy Świat 47. Warszawa, Tel. 36-44.

Wysyłka towarów za zaliczeniem.



Rys 4.

Dzisiaj, gdy posiadamy już doskonałe odmiany gołębi pocztowych i sportowych, kariery hodowlane bywają jedynie dla ozdoby. Silny rozwój brodawek, tak ocznych, jak i nosowych, wpływa na ich niezaradność, to też wymagają starannej pielęgnacji i zamkniętych miejsc hodowli.

Do brodawczaków należą też liczne odmiany bagdetów, oraz król tej grupy — gołąb pocztowy — Dragon (rys. 3).

Dragony pochodzenia angielskiego odznaczają się postawą wiecznie gotową do lotu i wielką wytrzymałością.

Przed okresem rozpowszechnienia gołębia pocztowego belgijskiego, dragonów używano w Anglii do przesyłek na stosunkowo poważne odległości—160—190 kilometrów.

Grupa dziewiąta—Gołębie olbrzymie.

Cechy swoiste gołębi olbrzymich to: ciało długie i pełne, wielki wzrost, silnie upierzone, długie nogi, niewielkie brodawki około oczu i na nosie.

Wśród olbrzymów wyróżnić należy:

Gołębie rzymskie, ociężałe w locie, swarliwe, łatwo wszczynające kłótnie i bójki. Naogół są złemi rodzicami. Niedbale wysiadują małe i karmią je niechętnie.

Montauban — olbrzym francuski, cieszący się coraz większym wzięciem w swej ojczyźnie.

Rys polski (rys. 4) — rozpowszechniony u nas, w Australji, Belgji i Francji,—łączy w sobie wybitne cechy mięsne i sportowe.

Rys polski płodny, wytrzymały i odznaczający się żywotnością, posiada wspaniałe upierzenie, które podnosi go do rzędu cennych okazów wystawowych.

Rysie nierzadko wywodzą w roku do 9-ciu pokoleń młodych (zawsze po dwa silne okazy). W przeciwieństwie do innych odmian, młode rysie już po dwóch tygodniach są dostatecznie upierzone, aby obejść się bez ciepła macierzyńskiego; to też nie cierpią bynajmniej i nie zatrzymują się w rozwoju, pomimo, że matka siada powtórnie na jajach, gdy młode są jeszcze przy niej w gnieździe. Rysie odznaczają się wybitnymi cechami rodzicielskiej staranności. Dbają o swe młode potomstwo, odżywiają je obficie, tak że młode rysie już po czterech tygodniach ważą około $\frac{3}{4}$ klg. i stanowią amatorski kasek po ugotowaniu lub upieczeniu.

Wyżej wspomniana rasa żeruje chętnie na odległych od gołębnika polach. Z natury są to gołębie dosyć płochliwe, odznaczające się wrodzoną czujnością.

Wybitna u tej rasy siła wzroku, jak również i rysunek ubarwienia, przypominający sierść rysia, są źródłem nadanej im nazwy.

Budowa rysi odznacza się przysadkowatością, silnym umięśnieniem i pełną, wypukłą piersią. Barki ich są szerokie i zaokrąglone, postawa prosta i dumna.

Grupa dziesiąta: — Gołębie, zwane Kuraki.

Zbliżone wyglądem do kur, gołębie tej grupy mają ciało krótsze i bardziej krępe, niż gołębie innych odmian.

Dziób średnio długi, skrzydła krótkie, szyja długa i prosta.

Do grupy tej należą jeszcze Strasery, o dużej głowie z wielkim, zakrzywionym dziobem i poziomym ogonem.

W. D.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu”—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
 Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
 Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40
 Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-16.